

Kpatinga: wioska czarownic

13 kwietnia 2014

Właśnie wróciłem z Kpatinga, kolejnej wsi w północnej Ghanie, będącej schronieniem dla rzekomych czarownic. Osobliwością wierzeń w czary w północnej Ghanie są miejsca będące azylem dla „czarownic”. „Czarownica” nie musi umrzeć, jak głosi Pismo Święte. Są wioski, które przyjmują i pomagają ofiarom oskarżeń o czary. Kpatinga jest jedną z nich.

Wieś leży około stu kilometrów od stolicy tej prowincji Tamale. Dotarcie do niej jest wyzwaniem. Jadąc z Tamale po trzech godzinach docieramy do miasteczka Gushegu. Oprócz autobusów linii Metro Mass, inne firmy autobusowe jeżdżą na tej trasie trzy razy dziennie, częściej, kiedy w Gushegu jest jarmark. Pojawiłem się na stacji autobusowej w samo południe, żeby się dowiedzieć, że nie ma już biletów. Zamierzałem zrezygnować z podróży, ponieważ jadąc kolejnym autobusem wyładowałbym w Gushegu w środku nocy.

W kilka minut później, młody człowiek, który powiedział mi wcześniej, że nie ma już biletów, podszedł do mnie, wyciągnął z kieszeni brudny i zmięty kawałek papieru, z numerem 68. Wręczył mi go żądając opłaty za przejazd. Patrzyłem ze zdumieniem na ten „bilet”, ale czekająca na ten sam autobus studentka powiedziała mi, że to naprawdę jest bilet autobusowy.

Zapłaciłem, obawiając się trochę, że może to być jeden z takich biletów bez miejsca siedzącego. Nie zamierzałem jechać na stojąco z Tamale do Gushegu. Wiedziałem z doświadczenia z Ghany i Nigerii, że nie ma co marzyć o zwrocie pieniędzy w takim przypadku.

Zgodnie z moimi przewidywaniami w autobusie nie było siedzenia z numerem 68. Najwyższy był numer 48. Poszedłem do mężczyzny, który sprzedawał mi bilet, a on powiedział, żebym się nie

denerwował i poczekał aż "główni" pasażerowie zajmą miejsca. Rzeczywiście wybierałem się w podróż, która wymagała wiele cierpliwości. Okazało się, że mój bilet był na improwizowane siedzenie w przejściu. Wskazał mi siedzenie, na którym będę mógł siedzieć, ale jak się potem okazało, dwie osoby miały bilet na to miejsce.

Tą drugą osobą była kobieta o bardzo obfitych kształtach. Bez powodzenia próbowała się wcisnąć, obok mnie siedziały już dwie bardzo tłuste kobiety. Szczupły facet siedzący przed nami zaoferował się, że zamieni się z nią miejscami. Sześć osób siedziało teraz w rzędzie przeznaczonym dla czterech.

Zanim wyjechaliśmy z Tamale do autobusu weszła dwójka handlarzy. Oferowali pasażerom „lekarstwa”. Najpierw mężczyzna, który sprzedawał leki ziołowe wyprodukowane w Accra! Potem kobieta, koło siedemdziesiątki, nadal jednak bardzo energiczna. Miała donośny głos i po wejściu do autobusu, żeby zwrócić na siebie uwagę pasażerów próbujących gdzieś upchnąć swój bagaż i jakoś się usadowić, krzyknęła Asaalam aleikum. Sprzedawała jakieś „islamskie” leki z Mekki, przeciwdziałające atakom przez czary, przeciw złym snom i złym duchom, które mógłbym włączyć do mojego zbioru przedmiotów używanych do „odprawiania czarów”.

Autobus miał odjechać o 12.00, ale ruszył kilka minut przed drugą. Wszystkie miejsca były zajęte przez pasażerów, a pozostała przestrzeń, włącznie z otoczeniem fotela kierowcy, przez ich bagaż. Część pasażerów jechała na stojąco.

Asfaltowa droga skończyła się kilka kilometrów za Tamale, dalej były wyboje z resztkami asfaltu. Niedawno padał deszcz, więc autobus nie wzbijał kurzu. Wyboje były tak liczne i głębokie, że autobus wydawał przerażające dźwięki, jakby miał się za chwilę rozlecieć, ale wytrzymał. Nie byłem jednak zdziwiony, kiedy na kilka kilometrów przed Gushegu coś się popsuło. Kierowca próbował naprawić uszkodzenie, co udało mu się tylko częściowo i z trudem dotarliśmy na miejsce około 6

wieczór. Poszedłem do hotelu po załatwieniu wynajmu motocykla, który miał mnie zawieść następnego dnia do Kpatingi.

Przyjechałem do Kpatingi o ósmej rano, po 40 minutach jazdy. Powitał mnie Sampa, kapłan Tindana. Sandana porzucił szkołę po czwartej klasie szkoły podstawowej i od 20 lat był kapłanem. Mówił troszkę po angielsku, ale musieliśmy rozmawiać przez tłumacza, którym był nauczyciel z pobliskiej szkoły. Sampa nie pamiętał, kiedy zaczął pracę dla Tindana, ale jego zdaniem musiało to być około roku 1994, przed konfliktem między plemieniem Dagombas i Konkombas.

We wsi mieszkają 42 rzekome czarownice. Jest również dziewięcioro dzieci ze swoimi matkami lub babkami. Jak wyjaśnia Sampa „obóz czarownic” powstał jeszcze za rządów Kwame Nkrumaha. Ma na celu ratowanie ludzi podejrzewanych o czary. Podejrzewani o czary są wygani z ich społeczności, niektórzy z nich uciekają sami, ratując się przed śmiercią. Przyjęcie do obozu wymaga obecności członka rodziny lub dalszego krewnego. Sampa mówi ze współczuciem, że żadna czarownica, która zjawia się bez towarzystwa krewnego, nie może być przyjęta.

Przyjęta rzekoma czarownica musi dać kozę, perliczkę, kurę oraz 100 cedi (miejscowa waluta- A.K.). Kozą i ptaki mają być ofiarą dla bogów. Ta ofiara ma być błaganiem bogów o ochronę. Rzekoma czarownica musi wypić Nyuhima – wodę z świętego źródła zmieszaną z krwią kozy lub ptaka zabitego na ofiarę, żeby oczyścić się i pozbyć się posiadanych czarodziejskich mocy.

Nie ma rytuału potwierdzającego czarodziejskie moce, tak jak to widziałem w innym takim obozie, w Kukuo.

Sampa wyjaśnił stanowczo, że bez kozy i drobiu żadna czarownica nie może być przyjęta do obozu. Opłata jest obowiązkowa, ale jeśli jakaś czarownica nie ma tyle pieniędzy płaci 40 cedi, albo tyle ile ma. Sampa odmawia powiedzenia, jak przeprowadza swój rytuał ofiarowania zwierząt bogom w

świątyni.

“Czarownice” w obozie nie mają lekkiego życia. Brakuje im pieniędzy, ubrań, nie ma tu urządzeń sanitarnych ani elektryczności. Czasem pomagają jakieś organizacje pozarządowe. Religijna organizacja World Vision, zbudowała kilka domków, tu mieszka po kilka “czarownic” w jednym pokoju, pozostałe mieszkają w szałasach. World Vision dała im również mechaniczne żarna. Organizacje Action Aid oraz Songtaba dostarczyły trochę ubrań i garnków. Organizacja pomocy Ofiarom Polowania na Czarownice Simona Ngotha opłaciła ich ubezpieczenia zdrowotne i wynajęła nauczyciela języka angielskiego.

Niektóre z tych “czarownic” mają dość sił, żeby pracować w okolicznych gospodarstwach. Dostają jako zapłatę trochę produktów rolnych, które sprzedają i mają jakiś dochód. Kobiety, z którymi rozmawiałem, czują się nieszczęśliwe i chciałyby wrócić do swoich domów, do rodzin i swoich społeczności. Oskarżenia o czary przekreślają te marzenia. Te oskarżenia, zakorzenione są głęboko w przesądach i mitach na temat śmierci i przyczyn chorób.

Oskarża się te kobiety o wiele rzeczy, o spowodowanie śmierci kogoś z rodziny, o spowodowanie choroby, o pojawienie się czyichś snach. Niektóre z tych kobiet były ciężko pobite zanim zostały wygnane ze wsi, niektóre uciekły do rodzin, które nie pozwoliły im na pozostanie, ponieważ oskarżenia o czary wywołują lęk i przerażenie. Inne uciekły do obozu, kiedy tylko padło oskarżenie o czary. Ich rodziny i sąsiedzi nie chcą ich więcej wiedzieć na oczy. Zmuszono te kobiety, żeby Kpatinga stała się ich domem i jedynym miejscem gdzie mają prawo istnieć teraz, jeśli nie przez resztę życia.

Autor: Leo Igwe

Tłumaczenie: A.K.

Źródło oryginalne: Butterflies And Wheels

Źródło polskie: [Listy z naszego sadu](#)

0 AUTORZE

Leo Igwe – Sekretarz Nigeryjskiego Ruchu Humanistycznego, działacz Center for Inquiry w Nigerii, członek IHEU i Atheist Alliance International. Jest redaktorem „Humanist Inquirer” i autorem wielu artykułów wolnomyślicielskich. Większość swojego czasu poświęca ratowaniu dzieci oskarżanych o czary.